

A więc spotykamy się już drugi raz. Klub nasz powiększył się o nowych Autorów. Reszta na razie czeka w kolejce. Listy z utworami napływają.

Przypominamy, że w pierwszym „Klubie” (NP nr 28, 11.VII.1965) prosiliśmy o reportaże z praktyk zawodowych i o wspomnienia „największych przygód i najważniejszych przeżyć”. Dziś – nowe propozycje.

Nadal prosimy – i obiecujemy wyróżniać – autentyki. Opisy prawdziwych wydarzeń, reportaże i wspomnienia.

Przypominamy – do Klubu Młodych Autorów „NP” przyjmujemy wszystkich, których materiały, choćby we fragmentach – publikujemy.

TO NIE JEST KONKURS. Nie ma pierwszych miejsc i nagród. Tylko satysfakcja zobaczenia siebie w druku.

Czekamy na dalszych Autorów.
PIÓRA NA START!

KLUB

MŁODYCH AUTORÓW NA PRZEŁAJ

DRUGA LISTA CZŁONKÓW

„Wojciech Kingos”, woj. warszawskie

Marek Ewiak, Warszawa (M. E. z „Klubu” w numerze 28)

„Robert”, Warszawa

Zdzisław Szuwarnski, Łódź

Kazimierz Kuciński

Jestem uczennicą IX klasy Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie. Malarstwo – to moje hobby od wczesnego dzieciństwa. Poniższe opowiadanie oparte jest na moich wspomnieniach sprzed dwóch lat. Jest to pierwsza tego rodzaju próba literacka, oceńcie obiektywnie, czy to wszystko się jakoś klei? „Robert” to oczywiście pseudonim.

DALEKA DROGA DO SIEBIE

Tamtego pierwszego września przyszedłem zapisać się na zajęcia plastyki z lekkim biciem serca. Uczęszczałem na nie wtedy już czwarty rok, ale po raz pierwszy miałem malować i rysować z najstarszą grupą Pałacu Młodzieży. Ze strachem czekałem na chrzest bojowy, czyli pierwszy temat. Jakoś nieswojo czułem się w tej wysokiej sali z rzędami białych kolumn, tonących w zieleni bluszczu, areukarii, palemek i innych egzotycznych roślin. Nie pierwszy raz siedziałem przy tym zielonym stoliku, na którym leżał biały karton, paleta pokryta barwnymi plamami farb, pędzle... a jednak? Chyba na ten dziwny nastrój wpływało towarzysztwo: każdy z moich kolegów miał na swoim koncie kilka nagród zdobytych na konkursach i wystawach malarstwach, każdy miał wyrobiony styl, ulubioną gamę barw. Temat, zadany przez moją profesorkę (jednego z znanych plastyków polskich), był prosty: martwa natura. Na tle granatowej draperii pokrytej mnóstwem fioletowych cieni i półcieni

stał słoik po czerwonej farbie, obok leżała dynia w odcieniu ostrej żółci. Pociągnięcia mojego pędzla były niepewne. Ocena instruktorki także jednoznaczna: proporcje błędne, barwy też nie te. Ogólnie zbyt realistyczne. Wracam do domu ze spuszczoną głową...

Nie miałem ochoty chodzić na następne zajęcia. Po prostu bałem się kolejnej porażki. Jednak mimo wszystko byłem na każdym z nich. Podpatrywałem swoich kolegów. Dlatego też moje prace były jak gdyby składanką akwarel, rysunków czy grafik Jurka, Wicka, Andrzeja, Ani, Ryśka... Instruktorka twierdziła, że jest już lepiej. Ja jednak wiedziałem, że muszę wrócić do swego stylu: odnaleźć z powrotem siebie.

Chodziliśmy często na wystawy do Zachęty, Muzeum Narodowego (Jan Cybis), Klubu Przyjaciół Sztuki itp. Słuchałem ocen i wypowiedzi moich nagradzanych przyjaciół, sam się nie odzywałem w ogóle. Nauczyłem się cenić malarstwo nowoczesne, odróżniać kicze od prac rzeczywiście dobrych. Moje, z po-

czątku niezdarne i mętne grafiki i monotypie powoli, ale z trudem i opornie, nabierały odrębności, czystości linii, dobrych, ciekawych kontrastów. Coraz częściej słyszałem pochwały instruktorki.

A jednak, gdy otrzymałem na koniec roku teczkę z rysunkami, nie byłem z siebie zadowolony. Widać było olbrzymi postęp w przedstawieniu się z naiwnego rysunku dziecka na pracę bardziej dorosłą i świadomą, ale to jeszcze nie było to. W tym roku już nie tylko słucham, ale i sam zabieram głos – z moim zdaniem zaczęło jeszcze nie było to. Czuję strachu przed wejściem do Ogrodu Zimowego, gdzie mieszczy się nasza pracownia malarska. Teraz są inni nowi, którzy się boją i nie umieją. Ja już do nich nie należę. Projekt mojej pocztówki poszedł do Organizacji Kulturalnej przy ONZ, a jedna z większych prac na Festiwalu Malarskim w Algierii. Mimo tego wiem, że wciąż muszę dążyć do czegoś lepszego, bardziej charakterystycznego właśnie dla mnie. Po tych dwóch latach dowiedziałem się również, że naśladowaniem do niczego nie dojdę i że droga do znalezienia własnego ja jest długa i często usiana ostrymi cierniami. Daleka droga do siebie...

Robert

Proponujemy temat hobby.

Mamy nadzieję, że i inni kandydaci na Autorów zechcą napisać o swoim hobby.

Mam 16 lat, i uczęszczę do L. O. Mieszkam w Zawierciu, a nazwisko Iga Wejch jest pseudonimem.

„SMUTNY DZIEŃ”

Dziś stwierdziłam ze zdumieniem, że od świata dziecięcych marzeń i zabaw dzieli mnie nieprzebrana przepaść. A wydaje mi się, że dopiero wczoraj byłam małą dzikuską, którą rodzice chcieli za wszelką cenę ucywilizować.

Cywilizacja! Boże, jak ja wówczas nienawidziłam tego słowa. Dla mnie, przywódcy bandy chłopców, urwisów z całej ulicy oznaczało to utratę wolności i swobody. Łaziłam z chłopakami po drzewach, pładnowałam cudze sady, strzelałam z procy. Jakaż byłam wówczas szczęśliwa i wesoła. Odkrywałam nieznaną świat, nowe wyspy i oceany. Byłam Kolumbem. Lecz w południe wracała z pracy mama i wkraczała do akcji. Ściągała mnie z wielkim wrzaskiem z drzewa, myła, ubierała w sukienkę z falbankami, wiazała wstążki i prowadziła do parku. Do grzecznych, miłych dzieci. Budziły we mnie wstręt i dlatego z taką pasją obsypywałam je piaskiem, ściągałam z włosów kokardy. Mama była przerażona. Co ja mam zrobić z tą dzikuską? – żaliła się tacie. Niech robi co chce



— tata na to. — Przecież to dziecko. — Uśmiechałam się w myśli. Ta walka była wygrana. Odtąd z ochotą targalam sukienki na płotach, aż przekonałam mamę, że powinnam mieć w swojej garderobie więcej spodni. Zaczęto mnie coraz częściej widywać tylko w takim stroju — w spodniach, na bosaka, z rozwierzoną czupryną. „Cóż za niesforne dziecko” — mawiały sąsiadki i patrzyły troskliwym okiem na swe pociechy, prążące się w falbankach. Jakżesz te marionetki zazdrościły mi swobody. Byłam wolna. Dziś to wszystko daleko już ode mnie. Muszę się liczyć z ludzką opinią, mieć dobre stopnie, być grzeczną. Cywilizacja! Szłam pustą ulicą. Ponad domami leciała chmara wron. — Wesele, wesele — darły się dzieci. Ja też tak wołałam, ale to już dawno. Bardzo, bardzo dawno.

IGA WEJCH

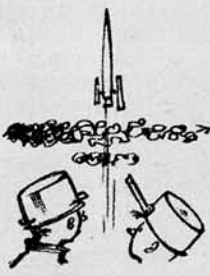
NIEUDANY START

Bylem wtedy bodajże w IV klasie. Na lekcji przyrody uczyliśmy się o sile odrzutu, samolotach odrzutowych, raketach. Nauczycielka mówiła nam wtedy o raketach kosmicznych. Powiedziała również, że pewnie już niedługo człowiek wyleci w Kosmos (co zresztą rychło się sprawdziło). Kiedy tak słuchałem o raketach przyszło mi na myśl, że i my sami moglibyśmy również skonstruować taką rakietę. Do pracy przystąpiliśmy z kolegą Bronkiem, którego

przezywaliśmy „Papułą”, bo kiedyś podpisał swoją bibułę „Pronek-Papuła”.

Na poligon doświadczalny wybraliśmy plac za stodołą „Papuły”. Wykopaliśmy dołek, w którym umieściliśmy długą zardzewiałą rurę. To była wyrzutnia. U dołu rury założyliśmy pojemnik wypełniony kawałkami plastyku czyli „kopcę”. Między innymi poszła na ten cel lalka siostry Bronka. Pojemnik był zaopatrzony w lont, który kończył się w rowie obok. Rów ten wybraliśmy na stanowisko

obserwacyjne. Drugi zbiornik paliwa umieściliśmy u nasady samej rakiety. Paliwo to miało połączenie z pierwszym pojemnikiem, po którego wypaleniu miało nastąpić odpalenie rakiety i zapłon drugiego stopnia. Sama rakietka była zrobiona z drewna i blachy. Kiedy przygotowania były zakończone wycelowaliśmy wyrzutnię na dach



stodoły, a sami skryliśmy się w rowie. Na głowy założyliśmy stare garnki, na oczy oprawki od starych okularów i tak przygotowani rozpoczęliśmy doświadczenie. Zapaliliśmy lonty i czekamy. Płomyk znikł we wnętrzu wyrzutni. Czekamy nadal, ale nic i nic. Naraz buchnęły z rury kłęby dymu, ale w chwilę potem na nasze plecy spadły tęgie razy. To dziadek Bronka zaniepokojony naszymi przygotowaniami i wprowadzony z równowagi kłębami dymu wypędzał z nas swoją laską kosmiczne zapaly. Robił to tak gorliwie, że w jednej chwili zostaliśmy „wyrzuceni na orbitę okołowiejską”. Kiedy znaleźliśmy się

już w stanie „nieważkości” na skutek zbyt silnego wyrzutu i trudności technicznych z powodu zbyt dużych garnków, doszliśmy do wniosku, że dębowa laska dziadka jest znacznie lepszym materiałem pędnym niż nasza lalka.

Tak więc nasze doświadczenia zakończyły się sromotną klęską, ale cóż, taki już los „naukowców”. Nie ma się jednak co martwić bo choć my nie wystrzeliliśmy naszego pojazdu na dach stodoły to jednak inni lecą aż w Kosmos. Widocznie nie mają dziadka z dębową laską.

**KAZIMIERZ
KUCIŃSKI**

„Fakty, które znajdują się w tym wspomnieniu nie są fikcją. To się zdarzyło naprawdę. Do napisania tego wspomnienia skłoniło mnie to, że jeżdżąc nieraz pociągami, widzę coraz więcej takich „akrobatów” chodzących po stopniach pędzącego pociągu. Są to z reguły „stare konie” w wieku dziesiętlatków, ale zdarzają się i młodsze.

Niestety, nie każdy może mieć takie „szczęście”. Dla innych powinno to być ostrzeżeniem”.

„SZCZĘŚLIWIEC”

Jest takie jedno mądre powiedzenie (które dotyczy wielu osób chodzących po tym bożym świecie) wypowiadane w różnych intonacjach i odciśnięciach głosu. Raz z zachwytem, raz z groźbą w oczach, innym razem z litością.

Powiedzenie to, to znane wszystkim „masz więcej szczęścia niż rozum”. To samo można by powiedzieć o pewnym moim koleźce, który z każdej opresji jakoś się wykaraskał, a co dziwniejsze z sytuacji niemal beznadziejnych wychodził cało. Do listy jego „przypadków”, jak on to nazwał, zalicza: trzy upadki (nawiasem mówiąc dość poważne) na motorze, jeden wypadek z samochodem i jeden z tramwajem.

Z tego ostatniego ledwo się wykaraskał. Kosztowało go to pół roku szpitala i naukę chodzenia począwszy od raczkowania.

Do swojej idiotycznej kolekcji zaliczy chyba i ten ostatni „przypadek”, który z dumą opowiada kolegom.

Wieczorem, w jedną z ostatnich niedziel, wracaliśmy z przyjemnego i udanego weekendu. Było nas sześćcioro. Trzech „uczniów

Spartakusa” i trzy „Heleny Trojańskie” (byliśmy zmuszeni dać im jednakowe imię tego „ideału”, bo żadna nie chciała ustąpić) cała zgrana paczka. Byliśmy wypoczęci, ale także głodni. Na wyścigi rwaliśmy szosą do stacji kolejowej. Na pociąg musieliśmy trochę poczekać. Jacek zaczął grać na gitarze, my śpiewaliśmy. W trakcie tego koncertu naszych głosów o wątpliwych wartościach artystycznych, dołączyła do nas jeszcze jedna grupa wycieczkowiczów. W tym czasie na stację wtoczyła się pękata sapiąca lokomotywa, ciągnąca za sobą sznur odrapanych „teksasów”. Wtoczyliśmy się do jakiegoś pustego przedziału i zajęliśmy wszystkie miejsca. Po kilku kilometrach jazdy nasz „szczęśliwiec” wstaje, przeprasza towarzystwo i wychodzi.

Po dziesięciu minutach wraca i z męką w oczach mówi: „O rany! Facet się powiesił czy co? Pół godziny czekam, stale zajęte. Jak facet do stacji nie opuści przybytku, to wysiadam. Zdązę zanim pociąg ruszy”, stwierdza i załamany siada na ławce.

Los jest okrutny. Facet nie wyszedł, a nasz

„szczęśliwiec” zmuszony był opuścić wagon. Po chwili pociąg ruszył a jego nie było. Z ciekawością wyjrzelśmy przez okno. Biegnie na pociąg. Ostatnim rozpaczliwym rzutem łapie uchwyt drzwiczek. Zdażył. Będzie musiał do stacji przejechać na tyle ostatniego wagonu. Ale dzieje się zupełnie inaczej. Naszemu „szczęśliwcowi” zachciało się jak zwykle zaimponować swoją zręcznością. Nadarzyła się znakomita ku temu okazja. Idzie w stronę przedziału po stopniach wagonu. Nagle zauważyłem nadjeżdżający po drugim torze pociąg. Krzyczymy do niego. Nawet nie zauważył. Uśmiechnięty i zaferowany swoją akrobacją idzie do przodu. — „Wariat” — pomyślałem — „może zdaży”. Doszedł do naszego przedziału. Ogłuszający ryk nadjeżdżającego pociągu. Siła pędu odrzuca drzwiczki do tyłu. Słychać brzęk tłuczonego szkła.

Szczęśliwiec razem z drzwiczkami znika nam z pola widzenia.

Z sąsiedniego przedziału słychać przeciągłe — „O Jezu! Zabiło człowieka”. Pociąg przejechał. Rzucamy się do otwartych drzwi. „Jest!”

Powoli odrywa się od ściany wagonu i gramoli do przedziału.

Bez słowa, błądzący i przerażony siada na ławce.

Bezwładnie opiera głowę o oparcie.

Znów miał szczęście.

**ZDZISŁAW
SZUWARSKI
Łódź**

TO JAKIM TRZEBA BYĆ?!!

(Zaproszenie do dyskusji)

Prezentujemy tu fragment opowiadania. Choć w całości nie nadaje się do druku — zdecydowaliśmy się przedstawić Wam urywki, ponieważ — jest o czym podyskutować, właśnie na temat „Jakim trzeba być” w swoich najbardziej prywatnych sprawach.

Letnia przygoda

...Monika jest dziwna. Chce, żebym do niej przyszedł, a nazywa mnie podrywaczem. Ha!!! Ja i podrywacz, to jak dzień do nocy. Ja, który nie potrafię przygadać „babki”. Ja, który przeżyłem tyle już lat i nie pocałowałem żadnej dziewczyny. Czy ja w ogóle jestem ciekawy człowieka? Czy można się mną interesować? Przecież dziewczęta lubią chłopców, tylko nie takich jak ja. Rano w szkole, potem lekcje, po lekcjach zbiórka drużyny... No tak, ale czyja drużyna najlepsza? — moja. Komu dają odpowiedzialne funkcje — mnie. I co ja z tego mam? Uznanie przełożonych...

— Marek, nie! — krzyknęła Monika.

— Dlaczego?

— Bo postanowiłam sobie, że pocałuję tylko tego, którego będę kochała i będę pewna, że on mnie kocha.

Milczeli. Marek myślał: „Lulek miał rację, trzeba spróbować inaczej, Tadek mówił, że „babki” słowom łatwo wierzą”.

Powiedział prosto do jej ucha, jakby się bał, że ktoś usłyszy:

— Moniko, przecież ja Cię naprawdę kocham...

To co się stało wczoraj wieczorem, to tak jak ta kropla spadająca z chmur. Przychodzi nagle z burzą, jest piękna, ale krótkotrwała, rozplywa się w jeziorku. A czy ja się rozplynę? Nie. Ale spadłem do jeziora, gdyż dokonałem dwu przestępstw. Po pierwsze nie dotrzymałem słowa Zosi, po drugie oszukałem Monikę. Czy potrafię Monice spojrzeć w oczy? Być innym to wcale nie takie proste. Ale czy ja się w ogóle zmieniłem? Czy tylko więcej przeżyłem? Lepiej być takim, jakim byłem? Nie, też niedobrze. **To jakim trzeba być?**

Wojciech Kingos

Sądźmy, że Klub może być trybuną poglądów naszych czytelników. Zaczniemy więc od spraw, które chyba wszystkich interesują.

